Ner 14. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie .— » 50 » » »
Z Modami paryskiemi.
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » « »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

☞ Ktoby sobie nie życzył trzymać nadal naszego pisma, zechce niniejszy numer bez uszkodzenia adresu odesłać Redakcyi niezwłocznie napowrót.

ELŻBIETA MATKA KRÓLÓW.

(*Dokończenie.*)

Po śmierci króla Kazimierza nie wiedzieli Polacy, którego wybrać na króla, czy Olbrachta czy Olesia? bo między dobrymi trudny wybór.

Matka poczciwa i sprawiedliwa, chociaż Olesia niby najbardziej kochała, przecież przechyliła szalę dla syna Olbrachta, którego zdawała się mniej lubić od Olesia, bo się tron sprawiedliwie prędzej należał starszemu synowi Olbrachtowi, niż młodszemu Olesiowi; aby zaś poprzeć tem pewniej wybór Olbrachta, to mu nawet posłała chorągwie zbrojnych. I był ten krok królowy matki dla całego narodu wielkim urokiem. To znowu po śmierci Olbrachta chciał Oleś mieczem dobijać się korony, bo to wtedy naród wolny wybierał sobie króla podług woli; a choć matka lubiła Olesia i choć przewidywała, że tą drogą prędzej zajdzie na tron, to jako pobożna matka odradziła swemu pieszczoszkowi rozlewu krwi bratniej, wojnę domową stłumiła, i dopomogła Olesiowi zasiąść na tronie bez rozlewu krwi.

W tych tylko wypadkach stawiają dzieje tę pobożną matkę na widowni politycznej, i to pole jest właściwe dla każdej matki, która ma popierać szczęście swych dzieci, a odwracać od nich ciosy bolesne, ale zawsze drogą uczciwą i środkami bożemi! To też mamy jeszcze jeden dowód piękny jej troskliwości, nawet i o wnuki swe.

Ona też dała synowi najstarszemu Władziowi jakąś przez siebie napisaną książkę, w której były rady i przepisy, jak ma być wychowany wnuk jej a syn króla Władysława, ów Ludwik Ilgi, co zginął walecżną śmiercią pod Mohaczem w błotach.

To też znowu jej synowa Helena, żona króla Alexandra, a córka cara Iwana z Moskwy, odbierała często przyganę i skarcenie od matki Elżbiety za jej zaniedbane wychowanie i prostacze obyczaje, o co się mąż jej a ulubieniec matczyn setnie ujmuje za żoną i uniewinnia ją przed matką sprawiedliwą karcicielką. Wszędzie też widać tę pobożną matkę czynną— wychowała tyle dzieci, a jeszcze zajmują ją wnuki i wszystkie osoby, które los postawił pod jej okiem. Jako matka zrobiła swoje, jako babka pamiętała o wnukach i nie dość jej czuwania nad kolebką własnych dzieci, ona w starości otacza swoją opieką i kolebkę wnuków. Za mężem królem odmawia pacierze, sypie jałmużnę, a ile razy wymieni go, tyle razy rzewnie płacze i nie może się utulić. A wszędzie go wychwala, że był najpobożniejszy, małomowny, że się najbardziej radował, gdy mu się udało komu coś dobrego zrobić.

Nawet żywot jej dzieci cieszy ją mocno. Że syn Olbracht był dobrym, to matka raduje się z tego, cieszy się niezmiernie i opowiada to drugim. Bo też istotnie był Olbracht dobrym i wdzięcznym dla matki i nauczyciela Kallimacha, był nawet małomownym.

Że syn Oleś był dobrym, to także matkę cieszy niezmiernie. Bo też i udał się i Oleś. Ile razy był w drodze, to nie gardził kmiotkami, rozmawiał mile z każdym ubogim, a w razie nie wstydził się pić wodę z naczynia prostego w domu jakiego kmiecia — sam uczony lubił młodzież pilną, a nie raz, gdy go kto powitał oracyą wierszowaną itd. to darował konia i worek złota za to.

Cieszy to matkę, że syn Kazio wdał się w nią co do pobożności — to też nie sprzeciwiała się, że syn pobożny, wątły na ciele, dręczył się dobrowolnie postami, modlitwami. Bo też i Kazio szczodry i miłosierny nad miarę, lubił mówić prawdę każdemu, a zły

człowiek to u niego tak jak przetak, z którego wszystko wyleci i nic się w nim nie pozostanie. To znowu Frydruś, przeznaczony od matki na jakiego biskupa i chowany stósownie, lubił książki i naukę, a ludzkość to u niego najwyższa cnota.

Zygmuś był mało znany, bo należał do najmłodszych dzieci, był surowym i ponurym, jednakowoż objawił rozum niezwykły, był przystępny, uprzejmy itd. i stwierdziły dzieje, jaki to był król i ojciec dla narodu — miłość narodu posiadał w najwyższym stopniu, mienił się królem i ojcem tak baronów jak chłopów i nie rozciągał swej władzy na sumienie niczyje.

Pomylił się w wyborze drugiej żony, a gdyby była dożyła jego pobożna matka tej przewrotności, jaka weszła do Polski i do dworu króla przez tę niecną Włoszkę, byłaby ją tak karciła, jakto robiła starszej synowej Helenie, albo byłaby ją wydaliła z dworu, jak wydaliła nieokrzesanego Maćka, jak widzieć nie chciała na dworze katolickim szyzmatyka Wołocha. To też co dobrego i pięknego zaszczepiła Elżbieta nasza na dworze polskim i w narodzie, czego nie skalała synowa Helena, żyjąc niedługo z mężem w Wilnie, to zbrukała w 50 lat niespełna jedna przebiegła Włoszka. Dzieje wykazują, czem był Kraków co do moralności za Elżbiety, a czem za Bony; jak były chowane dzieci Elżbiety, a jak był wychowany jej wnuk Zygmunt August, jaką matką była Elżbieta dla córek, a jaką Bona dla Izabelli, Katarzyny, Anny itd. tych nieszczęśliwych dziewic, które więcej miłości miały u brata niż u rodnej matki.

Na tem się kończy nasze opowiadanie o tej matce sławnej — i musi być taką, kiedy w 100 lat po jej śmierci sławił ją wymowny Orzechowski, a w 200 lat wspominał ją z uwielbieniem kronikarz Kobierzycki—a dziś 400 lat upłynęło nad jej grobem, a pamięć jej dzieci jest złotym rylcem wypisana w dziejach; to też i matka tak wielkich synów ma pamięć w dziejach nieśmiertelną! Ona choć Niemka z urodzenia i wychowana na obcy krój, w czasie 50-letniego pobytu swego w Polsce tak się oswoiła z obyczajami i zwyczajami polskiemi, i tak ich pilnie przestrzegała, że może być nazwana prawdziwą staropolską matroną.

Uczcie się matki rodzone Polki, albo żyjące w polskim kraju... od tej Elżbiety, jakiemi macie być same i wasze dzieci.

Miszka nad Maroszem.

(Według Lenaua.)

I.

Z równin Cisy rybnej, jasnej, ciche,
Przywędrował Cygan ze skrzypkami,
I pod skałą rozbił szałas lichy
Nad dzikiemi Marosza wodami.

Cygan Miszka wędrował swobodnie
W obcym kraju—wciąż dalej—bez celu,
Kędy usiadł wszędzie mu wygodnie,
I znów dalej szedł po dniach niewielu.

Miszki szałas, słomianką nakryty,
Nizki, wiatrem podarty—nie biały;—
A opodal Marosz o granity
Tłucze wodę i pieni się cały.

Miszki żona dawno w grobie leży;
Lecz odchodząc — pod słomianą strzechą
Zostawiła córkę— kwiatek świeży,
Żeby była staremu pociechą.

Gra, gra Miszka—tony wiatr porywa,
I roznosi polami po świecie —
Przed szałasem dziwnie urodziwa
Stoi Mira tam — cygańskie dziecię.

Zachód twarz oświecał promieniami,
Lekki wietrzyk bawił się włosami,
Co tak czarne, jak noc czarna, były —
I oddechem piersi się wznosiły.

O szczęśliwy, najszczęśliwszy z ludzi,
Dla którego pierś ta się przebudzi,
I miłością się ożywi ładną;
Na którego czarne oczy padną
Rozkochane, komu z ust maliny
Wyszeptają tę miłość dziewczyny.

Tak zdaleka patrząc na dziewczynę...
Młody strzelec myślał w onej chwili,
I pod drzewem czekał na zwierzynę,
Rychło z boru na strzał się wychyli.

Stoi strzelec i tak sobie wróży:
Jeźli szczęście dzisiaj mi posłuży,
To się spełni, co me myśli roją,
I Cyganka będzie moją, moją!

I pomyśleć nie miał jeszcze czasu,
Kiedy wyszedł szary jeleń z lasu;
Strzelec liczy w lot rogów ramiona —
O! szesnaście! tyle lat ma ona,
Żebym tylko nie chybił zwierzynę —
Zmierzył... strzelił.. będę miał dziewczynę!..

II.

Grają, grają skrzypki na weselu —
Śpiewy, śmiechy, biesiadników wielu,

I kielichy brzęczą u magnata,
I namiętnie tańcują Madjary —
A wśród grajków gra i Miszka stary.
Goście świetni i sala bogata.

Winne jagody, co słońca żar
Wciągały w siebie w posuszę —
Leją ten ogień słoneczny... z czar
W Madjarów dusze.

Panny na lekkiej tonów fali
Płyną, migają po sali,
I wśród namiętnych spojrzeń powodzi
Niejeden romans się rodzi.

Ha! muzyka!— Miszka smyczkiem śmiga.
Tancerzom w oczach wszystko miga...
Krople wina wśród muzyki brzęczą.
Piękne oczy się miłośnie wdzięczą. —
Już zasłonę zdjęto z panny młodej...
Jeszcze trzy dni i trzy nowe gody.

III.

Kiedy Mieszka gra w sali szlachcica,
Do szałasu idzie ktoś nieśmiało —
Struny przędła dla ojca dziewica —
A na polu dobrze pociemniało.
Strzelec lekko zapukał do chaty...
Dziewczę zlękło się: „o takiej chwili
Któż śmie pukać? szałas nie bogaty,
Ni żebraka ni zbójcę posili.“
Ale prośba tak ponętnie drżała,
Że dziewczynie nieotworzyć trudno.
Otworzyła... i z twarzą się cudną,
Z cudną twarzą młodzieńca spotkała.

I on mówi: „o zgadłaś dziewczyno!
Żebrak przyszedł do drzwi twoich, ino
Niechce ani pieniędzy, ni chleba —
Tylko ciebie dziewczę! mu potrzeba.
Bo bez ciebie ja ubogi, miła!
Do nóg twych mnie ciągnie jakaś siła,
Czarne oczy twe pod rzęsów cieniem
Palą serce miłosnym płomieniem.
I wciąż ciebie luba widzę prawie,
I w modlitwie, we śnie i na jawie!..

Mira, lekko spłoniona, mówiła:
„Jeśli twoja mowa jest prawdziwa —
To ja będę na wieki szczęśliwa;
Jeźli zwodzisz — to dla mnie mogiła,
Choć ty magnat, ja tylko Cyganka,
Chcę mieć z ciebie do śmierci kochanka!“
I miłości żarem rozpalona
Rzuciła się młodemu w ramiona.

Tam na sali mnóstwo świateł błyska —
Bawiono się, pito i tańczono —
Tu blask cichy księżyc w chatę ciska,
I tu narzeczony z narzeczoną.
I całusy, i szepty do rana
Słychać było w szałasie Cygana.
Lecz ponury Marosz koło domu
Wre i szumi, jakby groził komu.

IV.

Miro śliczna, Cyganeczko młoda,
Gdzież podziała się twoja uroda?
Znikła, jak ten obłok w przepływie,
Zwiędła, jako kwiat ten na dolinie
Bo porzucił ciebie rozkochaną
Magnat młody — a czy wiesz dla czego?
Przyniesiono mu raz obraz rano:
Na obrazie drzewo rodu jego,
Każda gałąź, co z drzewa wyrosła,
Jakiś zaszczyt jego przodków niosła.
Obok tego drzewa, gdzie szlachcice,
Stały rzędem suche szubienice,
I na każdej Cygan obtargany
Za przestępstwo od przodków karany.
Na wisielców spojrzał magnat trocha,
I zawstydził się, że ciebie kocha.

V.

Co dzień Mira coraz bardziej blada,
I nic nie je — i mało co gada,
A gdy głośniej wśród skał szumi rzeka —
Dziewczę w lasy przed szumem ucieka.

Miszka smutny, ale wierzy w pana,
Że nie będzie gorszym od Cygana,
Że niewiara dziewki nie zasmuci,
Choć zapomniał — to niedługo wróci.

Mira siadać nad stawem lubiła,
Tam gorąco, długo się modliła,
Aże raz ją tam pomiędzy trzciną
Znaleziono sztywną, zimną, siną.
A młodzieniec, co przysięgę złamał,
Już przed inną miłość, wierność kłamał.

Do hrabiego stajni porą nocną
Miszka skrada się— słudzy śpią mocno—
Cicho konia dotyka każdego,
Aż namacał rumaka hrabiego,
I włosieni na smyk włósien uciął wiele,
Miszka musi grać! — jutro wesele!
Zagra, zagra jutro Miszka stary,
A włósień mu potrzebna na czary,
I odchodząc z pełnemi garściami,
Zaklął konia ot skrzypka klątwami.

(*Dok. nast.*)

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

III.

Mgliste obrazy.

Czas długi siedziała Madelina nieruchoma, i bez myśli prawie, bez myśli przynajmniej wyraźniejszej, bo w jej głowie wrzały myśli w nieładzie chaotycznym. I próbowała wyciągnąć z tego chaosu myśl jaką jaśniejszą, przy której mogłaby się zatrzymać dłużej, by zdać sobie sprawę z tej nagłej przemiany losu, która ją tak niespodziewanie przydybała.

— Jestem żoną!.. szumiało jej w głowie.

— Wczoraj!. przed godziną jeszcze!.. nie marzyłam o tem.

Ależ ta sama myśl właśnie była dla niej pobudką do tysiąca najsprzeczniejszych wrażeń, które zmieniając się co chwila drżały w jej piersiach. I była chwila, że to wszystko, co tylko przeżyła, wydało się jej nieprawdopodobieństwem... sennem marzeniem.

Rzuciła okiem na łóżko, koło którego siedziała, i mimowolnie wzdrygnęła się. Ona była tak młoda jeszcze, tak niedoświadczona, niczem nie przygotowana do zwrotu tak nagłego, w jej życiu dotąd zwyczajnem i jednostajnem.

— To mąż!.. mąż mój!.. przebiegło przez głowę.

— Żona... trupa może!.. przebiegło bólem przez piersi.

— Żona!.. na zawsze przykuta!.. ścisnęło ją za serce.

Spojrzała na leżącego uważniej, i widok jego uspokoił ją nieco, w ład porządniejszy sprowadzał tłumne myśli. Jako kobietę, a do tego artystkę-rzeźbiarkę, uderzyła ją dziwna piękność kształtów tej twarzy tak uspokojonej, tak posągowo nieruchomej, i jak marmur posągu białej. Wiek zda się zniknął z tej twarzy, a zostały tylko rysy jej wydatne i szlachetne, którym ten spokój niezwyczajny nadawał coś wyższego, nadziemskiego. Zadrżała podziwem, bo tej szczególnej piękności nie widziała nigdy w kapitanie za życia.

I zadrżała przestrachem na tę myśl!., nachyliła się nad nim.

— Nie!.. on żyje!.. tłumaczyła sama sobie usłyszawszy lekki i jednostajny oddech śpiącego.

Wpatrywała się w niego z pewnem estetycznem upodobaniem, gdy nagle nowy porwał ją lęk. Spokojna twarz śpiącego zadrgała łyskawicą—czy marzenia sennego czy może bólu.,. i z piersi ciężko leniwie dobyło się... czyto westchnienie?.. czy oddech cierpieniem ściśniony?.,

I żal serdeczny przejął serce Madeliny... żal za tym umierającym, który w tej chwili wydał się jej droższym nad wszystko. W żalu, w litości, w spółczuciu, występuje w całej pełni szlachetne serce kobiety. To są w niem strony najprawdziwsze i najdźwięczniejsze! raz poruszone, grają one tę najcudniejszą harmonię uczuć szczerych i prawdziwych, których źródło niewyczerpane wlał sam Bóg w piersi niewiasty — harmonii pełnej prawdy i poezyi mąconej niestety przez smutne życia stosunki, i przez smutniejszy jeszcze nacisk ludzi i ich burzliwych namiętności!..

Porwała ją litość bezgraniczna!. bo sobie przypomniała, ile razy z ust kapitana słyszała, że nigdy nie był szczęśliwym, że całe życie jego rozmaitemi zewnętrznemi burzami nawiedzone, na wewnątrz przeszło w samych odczarowaniach i żądzach próżnych szczęścia, które pączkami nadziei spadały zawsze przedwcześnie zmrożone, i nigdy... nigdy!.. nie rozwinęły się w kwiat.

— I dziś ma umrzeć!. umrzeć!.. zdało się jej coś szeptać w uszy.

— Nie!. ja nie chcę!.. rzekła z cicha sama do siebie, i zapomniawszy o sobie samej, złożyła ręce do kornej modlitwy, która wyleciała westchnieniem z piersi. Nigdy pewnie w życiu szczerszej ku niebu nie wysyłała modlitwy.

I z starannością najczulszą schyliła swą piękną główkę ponad głowę umierającego. On to przeczuł we śnie może!.. bo zadrgał mu uśmiech na ustach, który wyrazem życia martwą twarz rozpromienił. Madelina ciepłą rękę przytuliła ostrożnie do czoła śpiącego. Czoło było zimne jak marmur posągu; że nie jest marmurem, dowodziły tylko lodowate krople potu, co je zwilżały. Otarła czoło miękką ręką, jakby dziecku ulubionemu. co je choroba zmęczy, i jakby na czoło śpiącej dzieciny złożyła pocałunek pełen—rzecby można — czułości macierzyńskiej. Bo w sercu kobiety przy każdem silniejszem współczuciu dla istoty obcej nawet, pomocy potrzebującej, rozbudza się zaraz instynkt macierzyński.

I tak została na pół nachylona, śledząc każdy ruch śpiącego tym snem—który może już być ostatnim.

— Ja mu jedna zostałam!.. pomyślała sercem poczciwem; jedna na świecie!.. ostatnie jego szczęście!..

Ten wyraz *szczęście*, co zawisł na jej ustach pomyślany, lecz ledwie do pół wymówiony, naprowadził ją na inny szereg myśli... Uspokojona chwilowo, zamarzyła Madelina.

I lekkie, mgliste zsuwały się przed jej oczyma obłoczki, jak owe obłoki na niebie, co przemykają o zmroku wieczornym, opromienione ostatkiem światła dziennego, łudzące oczy rozmaitością kształtów swoich. Coraz barwniej i wyraźniej cieniowały się obłoczki przed jej okiem, przybierając pewne postacie ukształtowane na mglistem przeźroczu. Cudne wyrobieniem, a zmienne zarazem, istne to były owe mgliste obrazki, które nam przedstawia udoskonalona sztuka optyczna.

Przemykały zaś same postacie znajome, odbijając się na jej twarzy rozmarzonej to uśmiechem, to cierpieniem. To obrazy jej przeszłości, upostaciowane w jej marzeniu. I cudem prawdziwym zdało mi się w mem nocnem widzeniu, jako wraz z nią widzę, wraz z nią rozumiem wszystkie te postacie, pojmuję ich myśli i znaczenie, słyszę nawet w wyraźnych słowach, niemą ich rozmowę.

Niewinny uśmiech dziecka przemknął przez usta Madeliny. To lekkie, miłe, uśmiechnięte obrazki jej lat dziecinnych!.

Ojciec i matka uśmiechają się do niej temi twarzami tak znajomemi, tak mocno wciśniętemi w pamięć serca, że nieraz w późnym wieku, na łożu boleści, w chwili śmierci nawet, znajome to spojrzenie i uśmiech przemknie łyskawicą pociechy i nadziei.

Pieszczoszka ojca widzi się na jego kolanach, i półsenna, półmarząca dziecina słucha cudnej bajeczki lub cudniejszej nuty rodzinnej, którą jej ojciec śpiewa tak czule i rzewnie, że w końcu dziecko z pół łzą i pół uśmiechem usnęło i zamarzyło o aniołkach.

I widzi tak wyraźnie twarz ojcowską piękną ale bladą, bardzo bladą. Ona widzi te oczy wielkie, codzień większe, z których czerpała wszystkie swe pierwsze myśli i uczucia — oczy łyskające promieńmi ciepła, które gasły i gasły codzień!.. aż zagasły na wieki!..

Widzi te usta, i czuć się zdaje ich ciepłe pocałunki, pod któremi młode dziecięcia serduszko tak się bujnie rozrastało w siłę kochania. Co miała w sobie najlepszego, to wzięła po ojcu — polskie uczucie, polskie myśli, polskie piosenki, i tę dążność do czegoś wyższego i szlachetniejszego, które w małem już dziecku odzywało się, gdy z takiem upodobaniem klaszcząc w białe dłonie stawało przed obrazkami, które jej ojciec kolorował. I mała Madelinka z przeczuciem artystycznem zawsze w tem miała upodobanie, co było rzeczywiście piękniejszem. A ojciec jakże się w takim razie cieszył!..

— Ty będziesz artystką!.. mówił do córki; artystką prawdziwą, nie takim bazgraczem jak ja.

A jakim głosem to mówił!? Madelinie po latach tylu dźwięczy jeszcze w uszach ten głos tak śpiewny i harmonijny, jakby w nim grały same struny sercowe. I słyszy drżenie tego głosu codzień dźwięczniejsze, ale i słabsze codzień, bo to już były ostatnie tony tych strun, które targały niemiłosiernie wszystkie doświadczenia życia.

Ojciec Madeliny, to była biedna, nieoględna, artystyczna natura. I to właśnie było jego nieszczęściem, że mniej wykształcony umysłem, do czego mu brakowało sposobności, był samorzutnym artystą serca. Ten artyzm serdeczny, który jest najczyściejszą iskrą poezyi w piersi człowieczej, jest w życiu rzeczywistem prawdziwem przekleństwem dla tego, któremu go Opatrzność udzieli. Artyzm umysłowy, jeżeli nie poszanowanie prawdziwe, budzi przynajmniej rodzaj pół obawy, pół czci przymuszonej; ale jakże za to ludzie zimni poniewierają artyzmem serca! Jest on zaprawdę męczeństwem — wieńcem cierniowym; wewnątrz sprawia wielkie użycia chwile; chwile uniesień ofiernych... męczeńskich!.. które są rozkoszą boleści!.. Ale na zewnątrz za to staje się powodem wszystkich tych cierpień, jakiemi rzeczywistość krzyżuje każdego poetę.

Takim był ojciec Madeliny. Dobry, aż do zaparcia siebie, kochał ludzi, bo on miał miłość bezgraniczną dla wszystkiego co go otaczało, bo to wszystko było dlań światem przez Boga stworzonym, bo z tego wszystkiego widział on zawsze stronę najpiękniejszą.

Wyszedł w świat prostym rzemieślnikiem. Jako pozłotnik bardzo zdolny, artystyczną naturą gnany, długo on wędrował po kraju własnym i po krajach cudzych, i w tak zimnem na pozór rzemiośle, bo mechanicznem zupełnie, zbierał przecie drugim niepojęte zapewne skarby żywej poezyi. Dla niego nie było martwem drzewo, które przyodziewał w świecącą pozłotę, bo każda drzewa tego rzeźba, którą pozłacał, miała dla niego swą mowę odrębną, jemu zrozumiałą. A w skromnym nieraz kościółku, gdy samotny przyozdabiał pozłotką ramy obrazów, lub słupowe przyczołki, on to widział i słyszał nawet, czego nie ujrzał i nie usłyszał zdolniejszy, lecz zimniejszy od niego artysta, który mu udzielał skromnego zatrudnienia. Bóg i jego wielkość były jemu widome w każdej świątyni, w każdym piękniejszym utworze, bo on to uczucie piękna, które jest godłem naszego boskiego pochodzenia, nosił w piersi swojej. Ale to życie wewnętrzne robiło go niezdolnym do życia zewnętrznego. Dla niego wszystkie *wczoraj* były cudnemi pamiątkami, które wzbogacały nowym skarbem każde *dzisiaj*, a o *jutrze* czyż mógł myśleć nawet biedny pozłotnik-artysta; *jutro* znikło dla niego w mgle marzeń, które rad był wyrzucać z piersi swoich.

Gdy powrócił do kraju, wypadek, dając mu zatrudnienie cokolwiek korzystniejsze, rzucił go na inne pole.

Ożeniwszy się, rozkochał się w życiu domowem, i rad był z sposobności jaka mu się nadarzyła. Ryciny kolorowane były wówczas w modzie, więc wziął się do tej roboty, które wykonywał z sumiennością i mistrzostwem nawet, chociaż zwykle nierozumianem i źle cenionem przez dających obstalunki. Z rycin przeszedł później do fotografii. Ryciny dawały mu prócz utrzymania użycie wielkie, przez tłumy zimne niepojęte. On się poznał z rycinami, i rozlubował w nich z całą swą wewnętrzną poezyą. To był dla niego świat, jemu tylko znany i zrozumiały; świat przyjaciół i znajomych, z którymi rozumiał się i rozmawiał jako z serdecznymi przyjaciołmi.

Fotografie zabiły biednego artystę. Widok tylu twarzy powszednich tuzinkowych, był dlań prawdziwie zimnym okładem, który ziębiąc gorące piersi, wysuszał w nich zdrój poezyi — był mu zarazem zdro-

jem życia. Darmo z tych twarzy, które mu się aż do zbrzydzenia wykrzywiały swą codzienną powszedniością, chciał on wyciągnąć choćby jedno z owych dawnych tak cudnych marzeń!.. Kolorowanie fotografii sprowadziło mu suchoty fizyczne, suchoty piersiowe. Jest to fenomen trudny może do zrozumienia dla ludzi mądrych głową... a ubogich sercem; ale artysta i poeta rozumieją go doskonale.

W czasie swych wędrówek poznał się z dziewczyną cudnie piękną ciałem. Była to córka biednej wyrobnicy francuskiej, którą przyciągnął do siebie artysta siłą swej poetycznej miłości. Śliczna ciałem, rozbudzona chwilowo przez miłość do młodego pozłotnika ze snu, w jakim spoczywała jej dusza, prawdziwych nie miała uczuć, i nie rozumiała nawet życia uczuciowego. Serce jej było zimne i egoistyczne w gruncie; dumna pięknością, chciała błyszczeć jeno, i stała się przez to dla męża jednym prozaicznym ciężarem więcej, który przytłaczał artystę. Ona to, jako Francuska, polskie Magdzi imie przerobiła na imie Madeliny. Kochała męża i córkę, ale kochała po swojemu, kochała nie dla nich, ale dla siebie samej, żądając od nich ciągłego uwielbienia i usług bez końca, do czego zdało się jej że ma prawo i jako piękna kobieta, i jako Francuska, a zatem w swojem bezrozumnem wyobrażeniu daleko wyżej stojąca od głupich Polaków.

Po matce wzięła Madelina wdzięki, i te zarodki acz lekkie do zalotności, łagodzone wszakże przez artystyczną naturę i poczciwe serce polskie, jakie wzięła po ojcu.

Ostatnie dni biednego ojca Madeliny były bardzo smutne, bo je goryczą napełniały nieustanne wymówki żony. W skutek długo trwających suchot w taką popadł niemoc, że musiał zaniechać swego zatrudnienia. Żona biednego artysty nie chciała i nie umiała tego rozumieć, i brak dochodów przypisywała mężowi jako jego winę, jako występek prawie.

— Wziąłeś mnie z mojej pięknej Francyi do tej zimnej i szkaradnej Polski, i ja nie mam nawet tych pięknych sukni jedwabnych, które może mieć najuboższa gryzetka.

Temi i podobnemi słowami, jakby ostremi szpilkami kłuła codzień biednego męża, aż go wreszcie na śmierć dokłuła.

Łzy zakręciły się w oczach Madeliny nachylonej nad głową kapitana. Obrazy mgliste pociemniały. Madelina ujrzała się przy łożu śmiertelnem ojca.

I z pomiędzy łez zajaśniał na rozmarzonej twarzy pół uśmiech cudnego wdzięku. Bo Madelina usłyszała ostatnie ojca błogosławieństwo, i uczuła na czole złożone ręce ojca, cisnące je tak miękko, tak czule, że już nigdy podobnego nie doznała wrażenia. Mglisty obrazek stał mi się niewidomym. W łzach tylko Madeliny, na jej długich rzęsach zawieszonych, mogłem czytać dzieje jej cierpień i rozpaczy, gdy już się na wieki zamknęły te łyszczące oczy, i zamilkł ten głos, który wpuścił w jej serce tyle cudnych piosnek, cudniejszych myśli, i najcudniejszych uczuć. A łzy Madeliny i wyraz jej twarzy były tak wymowne, że zdało mi się słyszeć głuchy jęk dzwonu pogrzebowego.

I znowu zaczęły się rwać mgły-obłoczki, i na ich tle powstawały nowe późniejsze obrazki, w których przeważały barwy ciemne.

Początek nędzy... sztukowany jak najdłużej próżnością matczyną. Zmniejszały się pokoiki mieszkalne; przenosiły coraz wyżej z piętra na piętro aż do strychu; ogołocały się ściany, ale chęć błyszczenia i podobania się lekkomyślnej Francuski walczyła do ostatka z uporem bohaterskim lepszej sprawy godnym. Jeszcze gości, jeszcze wielbicieli chciała mieć w koło siebie, wmawiając w siebie, że jeszcze jakaś wygrana padnie na nią z loteryi losu. Ostatnie zasoby, ostatnie życia potrzeby i wygody wyrzucała na tę loteryę tem złudniejszą, że sam czas wygraną czyni coraz niemożliwszą. Ostatni materac z pod siebie i córki, ostatnią sztukę najpotrzebniejszej bielizny wyniosła z domu, aby je przemienić na kilka świec i kwiatów, któremi chciała zabłysnąć w zabawie wieczornej, danej przyjaciołom. Ostatnie złudzenie!.. śmieszne złudzenie!.. Jak gdyby ubogi mógł mieć przyjaciół. Ostatnia stawka była równie daremna. Wielbiciel, w którym lekkomyślna kobieta upatrywała ten los loteryjny, z drwiącą miną patrzał na świece i kwiaty, które pokryć nie mogły wyszczerzającej się zewsząd nędzy. Obejrzał wszystko, doświadczonym wzrokiem ocenił, i uwagi jego nie uszły nawet poczynające się zmarszczki na twarzy matki. Więc zjadłszy ostatni kęs gościnny w domu, do którego zrozumiał, że już nie ma czego wracać, rzekł jeszcze na pożegnanie z niepoczciwem szyderstwem:

— Pani, córka dorasta!.. jest śliczna, tak piękna, jak nią pani być niegdyś musiałaś... Trzebaby się dla niej starać o męża.

I cicho się zrobiło i pusto się zrobiło na poddaszu zimnem i ogołoconem. W pół zemdlała padła matka Madeliny na twardy stołek, i okiem rozpaczy popatrzyła na gołe ściany, a okiem nienawiści prawie na własną i jedyną córkę.

— Ty jesteś jak ojciec twój!.. do niczego!..

— Matko!.. zawołała Madelina przestraszona i nie rozumiejąca gniewu matki. Cóż chcesz?. co każesz!..

— Co ja chcę?.. ja nie chcę nędzy!.. nie chcę zimna!.. ja potrzebuję wygód... zbytku!..

— Matko!.. ja będę pracować!..

— Pracować?. odrzekła i zaśmiała się tak przeraźliwem szyderstwem, że aż włosy córce powstały do góry.

— Pracować!.. powtórzyła. Co pracą zdobędziesz w tej waszej głupiej i gołej Polsce? barszczu i chleba trochę!.. i tej waszej kaszy dobrej dla ś... francuskich... a mnie trzeba pięknych strojów; mnie jedwabie przystoją...

— Ja bardzo pracować będę!.. mówiła córka, wstrzymując łzy, co się jej cisnęły do oczu.

— Głupia dziewczyno!.. Słyszałaś co ten powiedział wychodząc... ten niepoczciwy zdrajca... ty dorastasz!.. ty jesteś piękna!.. rozumiesz głupia dziewczyno!.. to jest twoja własność!.

— Nie rozumiem cię matko!..

— Boś głupia!. jak wy tu wszyscy!.. głupia! głupia!.

I z dzikim wyrazem rozpaczy rzuciła się na twarde posłanie. Madelina zadrżała przerażona, bo choć słów matki w całej ich mimowolnej może brzydocie nie rozumiała zupełnie, ale wzrok matki miał coś tak okropnego w sobie i złowrogiego, że się jej zimno w sercu zrobiło. Są chwile, są wyrazy, które serce przejmują przeczuciowym lodem.

I długa była nędza!.. długie były męki!.. Madelina pracowała, ale cóż jej praca pomódz mogła. Ojciec zanadto ją kochał i pieścił, aby przyzwyczaić córkę do jakiej pożytecznej i korzystnej pracy. Matka zanadto o sobie samej myślała, by kiedy pomyśleć o przyszłym córki losie.

— Głupia!.. głupia!.. powtarzała matka coraz częściej, a wtórowała słowom takim twarzy wyrazem, że biedna dziewczyna, pół dziecko jeszcze, uciekała przed matki spojrzeniem, kryjąc oczy w te robótki, nad któremi po całych ślęczała nocach.

A gdy córka pełna, radości, przyniosła za grosz zarobiony smaczniejsze jakie jedzenie dla matki, to się gniewnie rzucała.

— Wyrzucony pieniądz!.. Wolałabyś sobie kupić jaki stroik piękny i wyjść przecie na miasto. Bo jak on mówił, ja już stara... a ty młoda i ładna!..

— Mamo droga!.. błagała i płakała córka.

— Głupia!.. głupia!.. wrzeszczała matka coraz gniewniej i kłótliwiej.

Bóg się zlitował... zlitował śmiercią. Ciągłym gniewem rozdrażniona matka dostała gorączki, i uległa po krótkich cierpieniach.

Przed śmiercią rozbudziło się w niej lepsze uczucie. Spłakała się, pobłogosławiła córkę i czułemi przepraszała ją słowami.

— Co ty biedna robić będziesz?..

— Jest Bóg nad nami!.. odpowiedziała córka, i w tej chwili przyszły jej na myśl nauki i słowa ojcowskie...

Chora... ciężko westchnęła i skończyła...

— Jest Bóg nad nami!.. łzami i modlitwą powtarzała biedna sierota.

Madelina, przypomniawszy sobie te chwile najcięższe jakie przebyła, gorzkiemi zalała się łzami. Ale w tej chwili gdy spojrzała na biednego uspionego snem może śmiertelnym, jakieś rzewne ale słodsze zarazem uczucie zajaśniało na jej twarzy.

To mój mąż!.. bo jest Bóg nad nami!.. przemówiła głosem serdecznym.

I znowu zaszła zmiana w mglistych obrazach.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Tym razem sprawozdanie nasze nie długie będzie, bo choć w ostatnich dniach grano ciągle niemal, właśnie dla tego ani żadnej nie grano nowości, (chociaż ciągle nam na afiszu drukują jakieś świetne obiecanki) ani myślano o dobrym wyborze. Co było z kraja, co próby nie wymaga, to wybierano, byle zapchać wieczory wszystkie, korzystając z chwilowego napływu gości. Bez prób prawie przedstawienia muszą być mierne bardzo, a do tego dodać i to jeszcze trzeba, że ciągle następywały zmiany głoszone pisanemi kartkami przed samem widowiskiem... tak, że biorąc bilety w południe jeszcze, nikt nie mógł być pewnym, czy na tej, czy na innej będzie sztuce. Jedno z tych ogłoszeń, przy kasie przyczepionych, było nawet arcypocieszne; napisane było bowiem, że *Wesele przy latarniach* nie może być danem dla słabości różnych osób. Tymczasem wszystkie te osoby występujące w tej operetce, grały w innych sztukach; więc anonsujący przemianę na scenie musiał zwalić wyniklość jakichsiś nieporozumień zakulisowych na panny Micińskiej słabość, której się chorować ani śniło, i która, jak wiadomo, jest zawsze nadzwyczaj akuratna... wszystko to są drobne niby rzeczy, ale dowodzą przecie wielkiej niedbałości ze strony dyrekcyi, która publiczności miłą być nie może, i pomału zniechęca do sceny narodowej.

Grano zatem najprzó *Staroświeccczyznę i Postęp czasu*, przerobienie z niemieckiego ś. p. Kamińskiego, nie przynoszące mu wcale zaszczytu. Jakkolwiek wszyscy jesteśmy za postępem, nie godzi się kontusza naszego, godła naszej świetnej przeszłości stawiać w komicznej opozycyi z postępem czasu. Sztukę tę utrzymuje jedynie polonez tańczony i śpiewany, dla którego widoku przebaczamy niestósowność i lichy układ całej sztuki. Odznaczają się grą w tej sztuce p. *Królikowski* i pni *Krajewska.*

Na dochód pny *Hofmann* grano dwie sztuk. Przedstawienie zaczął *Mizantrop i Druciarz*, a skończył *Nowy rok.* O obu tych sztukach mówiliśmy już w tym kursie, i jeżeli o nich wspominamy jeszcze, to dla tego tylko, aby podnieść grę niezrównaną py *Hofmnn* jako *Magdy* w *Nowym roku.* Trudno żywiej, naturalniej i z większym humorem i wdziękiem razem oddać tę prostą, pustą i wesołą dziewczynkę krakowską. Tem wyżej podziwiamy grę tej artystki w takiej roli, że na pozór zdawaćby się mogło, jakoby znako-

mity talent pny Hofmann w rolach poważnych i tragicznych nawet, nie dał się nagiąć do ról tak lekkich, tak różnych od jej rodzaju.

Wybornie grał także p. *Janowski* druciarza Węgra. Lepszego druciarza nie widzieliśmy na żadnej scenie polskiej. Doskonale umiał sobie artysta przyswoić ruchy i wymowę węgierskich Słowaków, chodzących od domu do domu za drutowaniem garnków.

O *Skalmierzankach*, które nastąpiły, nie będziemy się także rozgadywać. Lichota wewnętrzna sztuki dawno już orzeczona; utrzymuje ją tylko dany z wierzchu pokost narodowy. Pni *Krajewska* pania *Marcinowę* gra wybornie. P. *Mikulski*, dawny aktor, nie należący do składu tutejszego towarzystwa, zastępywał tym razem chorego p. *Delchau* w roli *Kwizka* i.. choć mu nieco przysady zarzucić można, w całości grał wcale dobrze. Nie potrzebujemy powtarzać, że p. *Benda* jest Krakowiakiem niezrównanym.

Nazajutrz nastąpił znowu bigosik dramatyczny z trzech sztuk przez dyrekcyę sporządzony, w którym znowu na pierwszem miejscu figurował *Podstęp kapitana*. Zdaje się, że to dyrekcya chciała okazać stałość charakteru, i na nasze życzliwe uwagi co do tej ogranej starzyzny, czynione przed tygodniem ledwie, odpowiedziała, powtarzając tę samą sztukę. Że jest popisowa w niej rola p. *Królikowskiego*, wiemy o tem, że ją w rzeczy samej gra wybornie, przyznajemy, ale jak powiada przysłowie—czego zanadto, tego i zawiele— i nareszcie publiczność niewolona stósować się do upodobań artysty, gotowa sobie przypomnieć bajeczkę Krasickiego, z owem arcyważnem zadaniem: Czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?.

Do bigosiku tego należały: *Odludki*, także doskonale ograna sztuka, przez wszystkich debiutantów i popisowych artystów. A na zakończenie *Antoś i Antosia* stara arcy-lichota. Szkoda prawdziwie wyśmienitej gry pni *Krajewskiej*, która jedna znudzoną publiczność pobudziła do śmiechu w roli *Warszawianki*. Prawda, że to właśnie jest ogromna zasługa pni Krajewskiej, że gra role najrozmaitsze, a wszystkie stara się wypracować sumiennie i podnieść pięknym talentem swoim.

O *Kasprze Karlińskim*, który nastąpił, mówiliśmy już kilkakroć. Odznaczają się w nim jak zwykle pna *Biedrońska* w roli syna, a p. *Królikowski* w roli ojca Karlińskiego. Powiedzielibyśmy tylko, że mniej było zapału niż w innych przedstawieniach, i p. *Królikowski*, choć grał z uczuciem, tym razem zanadto deklamował.

Tego samego wieczora dodano zamiast *Wesele przy latarniach*, — *Nie bez przyczyny*, komedyjkę francuską zgrabną, ale bez najmniejszej treści wewnętrznej, z tym, coraz dla polskiej publiczności niesmaczniejszym dwuznacznikowym dowcipem. P. *Królikowski* grał z wielkiem życiem. Starą zaś kucharkę pni *Krajewska* oddała prawdziwie po mistrzowsku.

I znowu przyszła z kolei zbieraninka z trzech sztuczek na prędce złożona, na dochód pni Krajewskiej. *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża; Biała kamelia*, i *Błażek opętany*. Znane są wszystkie trzy; rozszerzać się nad niemi nie widzimy potrzeby. W pierwszych dwóch przeważa gust lekki francuski, i ta sama, o której wyżej mówiliśmy, pochopność do dwuznaczników, trącająca czasem o nieprzyzwoitość. Trzecią sztuką jest nasza rodowita klejonka zesztukowanych razem kilku scenek wesołych, bez wielkiego oglądania się na na jakiś staranniejszy układ dramatyczny, ani też na wielki sens. W— nieszczęściu grali bardzo dobrze pna *Hofmann*, pna *Safir* i p. *Królikowski*.

W *Białej kamelii* rolę żony oddała pna *Biedrońska* z tą jej właściwą naturalnością, która głównie zniewala dla artystki całą publiczność. Tę chwilę, kiedy przebrana w Domino intryguje męża, i czyni mu wymówki już przez się komiczne, oddaje artystka z niezrównaną prawdą, która też cały teatr do szczerego pobudziła śmiechu i równie szczerych oklasków. O *Błażku* nareszcie o tyle wspomnieć potrzeba, aby wyśmienitą grę p. *Bendy* podnieść. Nie można zaprawdę bez śmiechu patrzeć na te miny wszystkie i cały wyraz prostacki krakowskiego parobczaka. Ani też godzi się przemilczeć doskoskonałej i pełnej komiczności gry pni *Krajewskiej*.

O *Barbarze Zapolskiej* nareszcie nie da się także wiele powiedzieć. Stara to i doskonale znana komedyjka, a do tego przerobiona i zpolonizowana tylko nieco. O grze artystów to tylko chyba powiemy, że z nietęgiej komedyi robili jeszcze lichszą farsę, grając bez wszelkiej powagi, przez co poniewiera się tylko wiek, duch czasu i nazwiska historyczne. Jedna tylko pna *Hofmann* i p. *Królikowski* umieli komiczność sytuacyi lub wyrażeń godzić jakoś z konieczną powagą osób przedstawionych. P. *Wolski* za to zrobił z Zapolskiego jakiegoś niemieckiego ojca komicznego nowszych czasów. Nie mówimy, by ludzie dawnych czasów i wielkich nazwisk inaczej mieli chodzić i mówić jak inni śmiertelni, ale artysta powinien przecie zachować miarę i będąc takim Zapolskim, Ostrogskim lub innym, nie będzie się przecie rzucał po scenie ruchami farsowemi. Jednem słowem... inne są wymagania wyższej komedyi, a inne niższej.

Uwiadomienie.

Osoby, które prenumerowały w biórze Redakcyi, zechcą się łaskawie zgłaszać po brakujące im numera i po nowo wychodzące do księgarni Pna Grzybowskiego w rynku.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.— Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.